

Krzysztof Spadło



JUTRO  
BĘDZIE W CZORAJ

TOM I

————— CZASOTORIUM —————

———— CZASOTORIUM ————

KRZYSZTOF SPADŁO

TOM I

JUTRO BĘDZIE WCZORAJ

PROJEKT OKŁADKI:  
Dariusz Herbowski

KOREKTA I REDAKCJA:  
Małgorzata Wawrzyniak  
Remigiusz Michalik

ISBN:  
978-83-970783-2-1

WYDAWCA:  
KAGO

KONTAKT:  
[kontakt@wydawnictwokago.pl](mailto:kontakt@wydawnictwokago.pl)

Copyright © 2024 Krzysztof Spadło & KAGO

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2024

*Dla Jerzego Biernata  
z wyrazami wdzięczności.*

*„ ... różnica między przeszłością, teraźniejszością  
i przyszłością, jest tylko uparcie obecną iluzją.”  
Albert Einstein*

**KSIĘGA PIERWSZA  
ŚWIĘTY GAJ**

# Rozdział 1

## Pielgrzym

Majestatyczny sierp księżycy połyskiwał jaskrawym blaskiem w ciemnościach grudniowej nocy. Najdłuższej nocy w roku, która w tym momencie, mogłaby bezdyskusyjnie posłużyć za bajkową scenerię do spektakularnej produkcji filmowej. Jak okiem sięgnąć, świat chował się pod grubą warstwą śniegu. Fałdy gigantycznego, białego puchu, pokrywały łąki i pola, które tworzyły rozległy krajobraz tutejszej równiny. Nie sposób było dostrzec żadnych dróg i traktów, chociaż takowe wiodły przez okoliczną krainę. Gdyby nie połacie lasów lub nieduże zagajniki, człowiek mógłby odnieść wrażenie, że spogląda na polarny, nocny pejzaż. Wschodnia część nieba wciąż była usłana konstelacjami migających gwiazd, ale z przeciwnej strony, nadciągała złowieszca kurtyna chmur. Przeciwległą linię horyzontu spowijała ciemność, a nieprzeniknione całuny, popychane mroźnym wiatrem, sunęły przed siebie, jakby chciały pochłonąć swym mrokiem cały świat. Lodowate podmuchy podrywały drobinki śniegu z zasp, tworząc z nich mleczną, aerodynamiczną poświatę, mknącą tuż nad białymi garbami.

W głębi lasu było jeszcze spokojnie i tylko czubki najwyższych drzew, kołysały się w leniwym tańcu. Ruch koron sprawiał, że gdzieś tam pomiędzy konarami, prószył wol-

no opadający puch, który wyglądał niczym czarodziejski pył, iskrzący się diamentowym blaskiem.

Na gałęzi rozłożystego dębu siedział nieruchomo dorodny puchacz, a światło księżyca, odbijało się w jego drapieźnych, pomarańczowych tęczęwkach. Skrzydlaty łowca od dłuższego czasu spoglądał na ludzką postać, leżącą nieruchomo na dużej polanie. W tym miejscu zapewne pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, krzyżowały się dwa trakty, o czym świadczyły leśne przecinki, biegnące w cztery strony świata. Warstwa śniegu sięgała prawie kolan i nie było widać śladów, z którego kierunku ów człowiek tutaj dotarł. To był mężczyzna o krótko przystrzyżonych włosach i zaniedbanej brodzie, sięgającej do połowy piersi. Miał zamknięte oczy i oddychał miarowo. Trudno było precyzyjnie oszacować jego wiek, bowiem obfity zarost każdemu facetowi dodaje kilku lat, a już szczególnie wtedy, jeśli ów zarost nie jest odpowiednio pielęgnowany. Na pierwszy rzut oka mężczyzna, wyglądał jak typowy włóczęga, któremu stuknęło minimum pięć dekad życia. Był ubrany w szary sweter, wykonany z grubej przędzy, a wypchane łokcie i postrzępione ranty świadczyły o tym, że górna część jego garderoby od dawna wiernie mu służy. Miał też na sobie popielate spodnie o strukturze przypominającej filc, które choć wyglądały na znoszone, sprawiały wrażenie cieplej odzieży. Spod nogałek wystawały natomiast solidne, skórzane, żołnierskie buty o wysokich cholewach. Nawet laik, spoglądając na obuwie, wysunąłby wniosek, że ich podeszwy pokonały tysiące kilometrów. Na przegubie prawej dłoni, miał owinięty jeden z dwóch troków, przyszytych dratwą do wygarbowanego worka, który swoim kształtem przypominał średniej wielkości plecak. Przedmiot nie posiadał metalowych dodatków,



plastikowych zapieć i błyskawicznych zamków, bowiem był wykonany wyłącznie z naturalnych elementów.

Wtem człowiek leżący na wznak, otworzył znieca oczu.

Przez kilka sekund beznamiętnym wzrokiem wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo.

Nagle energicznie dźwignął tors, żeby przybrać siedzącą pozycję, a swoim ruchem natychmiast obudził niepokój sowy. Puchacz drgnął, a ponad drapieżnymi ślepiami uniosły się dwa pęczki nastroszonych piór. Mężczyzna omiótł dookoła wzrokiem i w mig zorientował się, że tym razem znowu się nie udało.

Na pewno się nie udało, bowiem pośrodku polany nie było drzewa.

Jednym szarpnięciem przyciągnął ku sobie skórzany worek. Ponownie spojrzął w niebo i zerknął na intensywne światło Gwiazdy Polarnej. Zauważył, że od zachodu suną gęste chmury, że wiatr coraz mocniej kołysze koronami drzew i wyraźnie słyszał, jak jego podmuchy zaczynają z wolna snuć posępną, zawodzącą pieśń. Nie miał wątpliwości, że nadchodzi śnieżycy i że w ciągu godziny, rozpęta się grudniowa zamieć. Przyłożył do ust zgrabiałe palce obu dłoni, kilka razy chuchnął i chyba dopiero wtedy zorientował się, że jego całe ciało dygocze z zimna. Zmarzniętymi palcami, zaczął rozsupływać węzeł sznura, żeby dostać się do wnętrza plecaka z ekwipunkiem.

Zaniedbany brodac oddałby swoją duszę aby było inaczej. Sęk w tym, że nic nie mógł zrobić. Po prostu nic. Wiedział, że za chwilę sprawdzi status swojego telefonu, który spoczywał w plecaku. Cóż z tego, że na dziewięćdziesiąt dziewięć procent był pewien, iż tafla wyświetlacza rozbłyśnie jedynie mlecznym, jaskrawym światłem? Cóż z tego, skoro mimo

głębokiej wiary w księżycową teorię, jeden procent niepewności i tak wydawał się zatrważający. Jeśli za chwilę ujrzy czysty ekran, odetchnie z ulgą, bo wtedy będzie miał większe szanse na przetrwanie i niespełna czterdzieści osiem godzin, aby umiejętnie wykorzystać moc elektroniki. Jednak jeśli stanie się inaczej i po raz drugi w swoim życiu, zobaczy emisję niezrozumiałej transmisji danych, wówczas skapituluje. Podda się i skończy z tym wszystkim na dobre. *Nie dam rady. Nie znajdę w sobie już tylu sił* – jęknął w myślach.

Nim nacisnął boczny klawisz, aby uruchomić urządzenie, poczuł jak w jego żyłach zawrzała krew. Kilka sekund później monitor przeistoczył się w prostokątną taflę białego światła. Mężczyzna klęczący na śniegu, na moment doznał uczucia błogiej ulgi, a potem pojawił się znajomy strach. Kciukiem wyłączył komórkę, żeby nie marnować bezcennej energii. Wyjął z plecaka pokazną rolkę czarnego materiału, która dodatkowo była przepasana zwojami grubego, lnianego sznura. Potem ponownie sięgnął do wnętrza i wyciągnął drewniany krzyż, z przytwierdzonym wizerunkiem Jezusa. Postać Chrystusa z rozpostartymi rękami i cierniową koroną była wykonana z metalu. Przedmiot miał długość męskiej dłoni, posiadał również mosiężne kółeczko, przez które był przeciągnięty rzemień. Brodacz przewiesił insygnium chrześcijańskiej wiary przez szyję i ukrył krzyż pod połą swetra. Machinalnie uniósł do góry wzrok. Na wschodniej części nieba wciąż jeszcze było widać gwiazdy, a drobny i sypki śnieg, z każdą chwilą zdawał się prószyć z coraz większą zawziętością. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że chmury nadciągające z zachodu najdalej za kwadrans przysłonią księżyc, a wtedy widoczność zostanie bardzo ograniczona. Teoretycznie nie miało to żadnego znaczenia. Doskonale wiedział, którym traktem po-

winien ruszyć, aby dojść do celu. Będzie musiał pokonać ponad pięć długich kilometrów. Wiedział gdzie jest, ale nie miał pojęcia – kiedy?

Puchacz siedzący na gałęzi dębu, bezustannie wpatrywał się w człowieka, który przybył znikąd. Widział, jak brodaty osobnik wkłada telefon komórkowy do bocznej kieszeni spodni i zapina doszytą do niej klapę na dwa mosiężne guziki. Takie artefakty zapewne chciałby posiadać każdy zapalony hobbysta, kolekcjonujący dziewiętnastowieczne przedmioty o militarnym charakterze. Nocny łowca obserwował, jak mężczyzna wyciąga z plecaka pas z kaburą, przekłada skórzany jeźtor przez szlufki filcowych spodni i upewnia się, czy broń jest przeładowana. Potem sobie ślepią widziały, jak brodac na siłę wsuwa nogawki portek w cholewy oficerskich butów. Dostojny ptak, uchodzący za symbol mądrości, przyglądał się jak w mroźną, grudniową noc, samotny człowiek, stojący pośrodku leśnej polany, rozsupłuje węzeł krępujący zrolowany zwój materiału. Jak kuli się przed chłostą zimnego wiatru i zacinającym śniegiem, a następnie nieporadnie przywdziewa brązowy habit. Lodowate podmuchy targały połami mrocznej szaty, jakby chciały ją wyrwać z rąk mężczyzny. Po chwili brodac opasał się lnianym sznurem, po czym przykucnął i wyjął z wnętrza skórzanego worka termiczną czapkę narciarską oraz rękawice. Miał świadomość, że osiemdziesiąt procent ciepła, uchodzi z człowieka przez głowę, a palce dłoni łatwo odmrozić, więc należy je chronić przed uporczywym zimnem.

Śnieżny opad, gęstniał z każdą chwilą, ale najgorsze miało dopiero nadejść. Mężczyzna założył troki na ramiona, nasunął na głowę kaptur, podciągnął przód sukna i brnąc w śniegu, ruszył przed siebie. Marsz nie należał do łatwych i zmuszał do

wysiłku. Leśna przecinka była jednak na tyle szeroka, że pomimo panujących ciemności i nieprzyjemnej aury, nie sposób było z niej zbroczyć.

Nim zdołał pokonać pierwszy kilometr drogi, rozpętała się zamieć. Wiatr dął z niewyobrażalną siłą i targał koronami drzew. Śnieg tak intensywnie sypał, jakby złośliwi aniołowie mierzyli do samotnego pielgrzyma z niebiańskich armatek śnieżnych. W tej chwili człowiek odziany w zakonny habit, mógł jedynie ubolewać, że nie jest szczęśliwym posiadaczem gogli.

Mężczyzna bezbłędnie znał topografię tutejszego terenu i wszystkie charakterystyczne punkty, które ułatwiały mu lokalizację własnego położenia. Od urodzenia mieszkał w tej okolicy i już jako rozbrykany wyrostek, włóczył się tutaj z kumplami. W normalnych warunkach byłby w stanie pokonać trasę i dotrzeć do celu w niespełna godzinę, ale kiedy człowiek grzęźnie w śniegu i z trudem stawia kroki, czas marszu zaczyna się wydłużać. *Najważniejsze, żebym czym prędzej dotarł do Plasterków. Tam znajdę schronienie i przeczekam nawałnicę* – szepnął w duchu, mając na myśli nieduży skalny masyw, który ze względu na swą formę, zyskał przedziwne miano owych Plasterków. Oczywiście byłoby bezpieczniej maszerować, nawigując za pomocą gwiazd, ale w tej chwili taka opcja już nie wchodziła w rachubę. Brodacz wiedział, że bezustannie musi zmierzać w północnym kierunku i dopiero kiedy wraz ze wschodem słońca dotrze do pozostałości starożytnego kamieniołomu, wtedy odbije w prawo. Jednak w tym momencie nie był pewien, czy ów kamieniołom w obecnej sytuacji może nazwać starożytnym.

Zamieć ustała jeszcze przed świtem. Wiatr umilkł zniecaka, a kurtyna obficie padającego śniegu przepadła bez wieści. Człowiek odziany w habit, jakiś czas temu opuścił bezpieczne schronienie, które znalazł w skalnej szczelinie. Wytrwale maszerował przed siebie, a w głębi duszy miał nadzieję, że czas, że wszechmogący i nieujarzmiony czas, będzie dla niego łaskawy.

Leśny drzewostan rzednął z każdym krokiem i już dało się dostrzec wierzchołek zbocza, które po drugiej stronie łagodnie opadało w dół. Niebawem wędrowiec miał ujrzeć miejsce, do którego zmierzał. Szedł, niosąc w sercu uczucia obaw i nadziei. Wiedział, że czeka go wyzwanie, któremu musi sprostać. Musi udźwignąć ciężar losu, wykazać się sprytem, przebiegłością i odwagą. Zdawał sobie sprawę, że jeśli popełni choćby jeden błahy błąd, wtedy może ponieść wysoką cenę, a być może nawet zapłacić własną głowę. Z każdym kolejnym krokiem czuł, jak serce coraz mocniej dudni mu w piersiach. Nagle dopadły go znajome, parszywe uczucia. W swoim życiu już kilkakrotnie doświadczył tych samych, podłych emocji, będących niczym wrząca mieszanina strachu, przerażenia oraz niezrozumiałej ekscytacji. Wolnym krokiem zbliżał się do punktu, skąd będzie mógł ujrzeć świat, który tym razem został mu przeznaczony...

Brodacz zatrzymał się na skraju lasu, który porastał szczyt wzniesienia. Z tego miejsca miał doskonałą panoramę na całą okolicę. W oddali dostrzegł strzechy drewnianych zabudowań, otoczonych wysokim ostrokołem z jedną bramą, wieżą i zwodzonym mostem, które dodatkowo okalał szeroki i głęboki rów.

– Ja pierdole! – rozpaczliwym tonem zaklął pod nosem, bo wiem nie spodziewał się ujrzeć takiego widoku.

## Rozdział 2

### Egzamin

Uniwersytet Wrocławski. Wtorek. 18 czerwca 1985 roku.

Profesor Marcin Jaworski był cenionym wykładowcą akademickim i pełnił również funkcję prodziekana wrocławskiego Instytutu Historycznego. Wiele lat temu mógł już zakończyć zawodową karierę i udać się na zasłużoną emeryturę, ale tym samym musiałby zrezygnować ze swojej pasji i powołania. Posiadał imponującą wiedzę, którą potrafił przekazywać w interesujący sposób, a jednocześnie był piekielnie wymagający w stosunku do swoich studentów. W mniemaniu wielu osób, uchodził za ekscentryka, kpiarza i szydercę. Posiadał specyficzne, pełne sarkazmu poczucie humoru, a to sprawiało, że Jaworskiego można było albo darzyć sympatią albo zniesmaczonym oburzeniem.

Sędziwy profesor siedział za biurkiem i od kilku chwil, spoglądał w milczeniu na twarze młodych słuchaczy.

– Drodzy państwo – rzekł nagle – za sześć dni rozpoczynają się egzaminy letniego semestru. Sądzę, że wielu z was polegnie – powiedział takim tonem, jakby sprawa była już przesądzona i dodał z uśmiechem na ustach: – Nieudacznicy i obiboki,

otrzymają drugą szansę w pierwszych dniach września, na sesji poprawkowej. Możecie być pewni, nie każdy z was będzie miał udane wakacje. Wyjątkiem jest pan Strużyna, który jak co roku stawia zarobek ponad wiedzę i świadomie podejmuje ryzyko zaliczenia egzaminów jesienią. Mam rację panie kolego? – zniemacka zwrócił się do studenta o bujnej czuprynie. Chłopak o puklach kruczoczarnych, kręconych włosów, nie podjął konwersacji, tylko spojrzął na profesora i w odpowiedzi kiwnął potakująco głową. Jaworski zerknął na zegarek i rzekł z lekko drwiącym grymasem na ustach: – Do końca zajęć został jeszcze kwadrans, więc mamy czas, żeby się zabawić. Zadam wam jedno, banalne pytanie i gwarantuję, że każdy, kto udzieli pisemnej, prawidłowej odpowiedzi, będzie mógł uznać letnią sesję za zaliczoną. – Na dźwięk usłyszanych słów, żaden ze słuchaczy nie krył swojego zaskoczenia. – Pytanie brzmi następująco – co twoim zdaniem, łączy wszystkie starożytne kultury i cywilizacje? Podaj jeden wspólny element, który pojawiał się na przestrzeni dziejów i został udokumentowany w rzetelnych, historycznych opracowaniach, dotyczących danej epoki. Mam na myśli dowody naukowe, a nie mity i legendy, w których ponoć zawsze kryje się ziarno prawdy. Musicie wskazać element, który przetrwał do czasów obecnych, ale dziś ma nieco inną formę. Wasze uzasadnienie może być zawarte tylko w jednym zdaniu i z góry zaznaczam, żebyście darowali sobie żenujące twierdzenie, iż chodzi o wiarę w bóstwa. Jesteście studentami trzeciego roku, posiadacie sporą wiedzę i dlatego ufam, że w waszym gronie znajdzie się przynajmniej jedna, inteligentna i błyskotliwa osoba, która podoła wyzwaniu. Na kartkach, oprócz odpowiedzi, napiszcie swoje imię i nazwisko. Od tej chwili, jakiegokolwiek rozmowy i konsultacje są niedopuszczalne. Zaczynajcie! Koniec quizu za pięć minut!

Gdyby ktoś miał okazję spojrzeć na twarze zgromadzonych w sali studentów, dostrzegłby na ich obliczach wyrazy zdziwienia i bezradności. W oczach większości, kryło się osłupienie i błaganie o jakąkolwiek dodatkową wskazówkę, która pozwoliłaby obrać odpowiedni tok myślenia. Zaliczenie semestralnego egzaminu w sposób, jaki przedstawił Jaworski, byłby dla każdego z nich, niczym spektakularna realizacja najśladszego marzenia.

– Panie Strużyna – odezwał się nagle sędziwy wykładowca – czy będzie pan tak miły i dostarczy na moje biurko jednozdaniowe opracowania swoich koleżanek oraz kolegów?

Uprzejme pytanie profesora miało charakter prośby, ale w tonie jego głosu, kryło się typowe, nonszalanckie polecenie. Od dawna nikt z obecnych nie miał najmniejszych wątpliwości, że Jaworski nie przepada za studentem o kruczoczarnych włosach. Nikt nie wiedział dlaczego prodziekan w jawny sposób, obnosi się ze swą niechęcią. Zapewne uważał Tomasza Strużynę za cwaniaka i kombinatora. Prawdopodobnie zazdrościł chłopakowi, że potrafił przechytryć PRL-owską rzeczywistość, że miał paszport, że podczas wakacji wyjeżdżał na zarobek do Szwecji i że był posiadaczem nowiusieńkiego poloneza 1500, w kolorze kości słoniowej. Być może Jaworski podejrzewał Strużynę, że jest cichym współpracownikiem SB, który za pozwoleniem owych służb, mógł bezpiecznie handlować walutą pod wrocławskimi Pewexami. Dużo można byłoby spekulować o powodach negatywnych uczuć, którymi wykładowca darzył studenta. Jednak z drugiej strony, ich podłoże mogło mieć bardzo prozaiczne zarzewie i wynikać z ułomności ludzkiej natury. Czasami człowiek po prostu kogoś nie lubi, jakby wewnętrznie czuł, że z tą drugą osobą nie jest mu po drodze.



– Mili państwo – odezwał się Jaworski, trzymając w dłoni plik kartek – boję się zajrzeć w treść waszych wycieczek, aby nie popaść w rozpaczę i otchłań rozczarowania. Wasze kompromitujące odpowiedzi, mogą jedynie świadczyć o tym, że jako wykładowca, poniosłem druzgocącą porażkę. Jednak żeby uniknąć nieporozumień, najpierw zdradzę wam jak powinna brzmieć prawidłowa odpowiedź. Najbardziej oczywisty i wspólny element, który pojawia się w historii ludzkości i wielokrotnie został udokumentowany w naukowy sposób, dotyczy – rzekł i na moment zawiesił głos, jakby w ten sposób chciał podkreślić wagę słów, które za chwilę wypowie – dotyczy, obrzędów gloryfikujących letnie przesilenie. Nie spodziewam się ujrzeć lasu rąk, ale czy ktokolwiek z was, podał taką odpowiedź? – zapytał i spojrzał na swoich słuchaczy.

Jedna z dziewcząt o krótkich blond włosach, siedząca w trzecim rzędzie, uniosła do góry rękę.

– Brawo, kamień spadł mi z serca – powiedział profesor – a pani nazywa się...?

– Anna Lange.

– Lange – powtórzył Jaworski i zaczął kartkować odpowiedzi. – Jest! Pani Ania napisała bardzo błyskotliwą odpowiedź, którą zawarła w trzech słowach – kult letniego przesilenia. Gratuluję pani Lange, zaliczyła pani semestr celująco. W przyszłym tygodniu proszę się pojawić na sesji egzaminacyjnej wraz z indeksem, abym mógł potwierdzić zaliczenie. Daruję sobie przeglądanie pozostałych odpowiedzi – powiedział profesor, po czym zgniół kartki w dłoniach i cisnął je do kubła, który stał obok biurka. – Moi drodzy, w obecnych czasach – Jaworski zmienił temat – rytuały związane z letnim przesileniem, posiadają zdecydowanie odmienny charakter, niż miało to miejsce na przykład tysiąc lat temu, albo w cza-

sach, które określamy mianem przed naszą erą. Zapewne jesteście świadomi, że niespełna czterdzieści kilometrów stąd, znajduje się Ślęża, która była uważana za świętą górę Słowian. Jeżeli ktoś z was chciałby poszerzyć swoją wiedzę, to polecam, aby udał się do uniwersyteckiej biblioteki i wypożyczył bardzo interesującą książkę. Pozycja pod tytułem „Krzyż garbo” ukazała się w niedużym nakładzie w roku 1950, a jej autorem, był jeden z ówczesnych profesorów tutejszej uczelni, Gabriel Amanowicz. Oprócz interesującej treści, zawiera również unikatowe reprodukcje map oraz liczne fotografie. Dzięki lekturze, możecie poznać mnóstwo ciekawych faktów oraz mity i legendy, dotyczące Masywu Ślęży. Książka nakreśla doskonały rys historyczny, począwszy od zamierzchłych dziejów plemion wyznających kult solarny, poprzez Celtów, Słowian, okres brutalnej chrystianizacji, aż po czasy współczesne...

## Rozdział 3

### Eskapada

Wydarzenie, które dziś zaserwował studentom profesor Jaworski, stało się dla niektórych jego uczestników, inspiracją do podjęcia wyzwania o rozrywkowym charakterze.

– Panowie, to co robimy? – zapytał Michał i spojrzał pytającym wzrokiem na Tomka i Szymona. – Organizujemy kultowe pijaństwo w noc letniego przesilenia?

– Mówisz serio? – odparł Strużyna. – Naprawdę chcesz, żebyśmy pojechali urznąć się na Ślężę?

– A czemu nie? – jego rozmówca odpowiedział, wzruszając ramionami. – Najkrótsza noc przypada w tym tygodniu z piątku na sobotę. Termin jest idealny i oby pogoda dopisała. Za dwa dzionki urządzimy jubel, jakich mało. Następna taka okazja będzie dopiero za rok. Weźmiemy gitarę, tranzystorowe radio, zakupimy kilka butelek wina, jakąś wódeczność i coś do żarcia, rozpalimy ognico i zabawimy się na całego. Dziewczyny już się zadeklarowały, że chętnie z nami pojedają. Ja zaopiekuję się Bašką, Szymek uwiedzie Dorotę, ty pofigułujesz z Anką i będzie git! Jesteśmy jak trzej jebani muszkietowie, którzy dzielą w akademiku jedną komnatę, więc nie rób scen. Czy tego chcesz czy nie, musimy trzymać się razem.

Szymek, trącając Tomka w ramię, rzekł:

– Anka właśnie pognała do biblioteki po książkę, o której mówił Jaworski. Może na reprodukcjach map będzie zaznaczone miejsce, gdzie kiedyś był święty gaj. Upić się w takim miejscu, to już nie jest w kij pierdział!

– Kiedy wyjeżdżasz zarabiać szwedzkie korony? – Michał znienacka zmienił temat.

– W poniedziałek z samego rano – odparł Tomek. – Muszę zdążyć na prom, który odpływa z Gdyni o siedemnastej.

– No to w czym problem? – wtrącił Szymek

Strużyna pokiwał głową w taki sposób, jakby coś kalkulował w myślach. Osobiście nie przepadał za ostrym pijaństwem. Miał, jak to mawiają, słabą głowę i nie lubił uczucia, określanego stanem upojenia alkoholowego. Jednak myśl, że Ania Lange też weźmie udział w eskapadzie, była żelaznym argumentem, która przeważała szalę decyzji. Prawdę powiedziawszy, Tomek od dawna podkochiwał się w Ance. Problem w tym, że jej osoba działała na niego onieśmielająco, a on najzwyczajniej w świecie nie miał odwagi, żeby wykonać pierwszy krok. Posiadał natomiast szereg innych talentów. Miał doskonałą smykałkę do interesów i świetny zmysł organizacyjny, błyskawicznie nawiązywał kontakty z ludźmi, ale w obecności dziewczyny, na której widok jego serce zaczynało bić dwa razy szybciej, czuł się bezbronny niczym dziecko. Dziś bardzo mu zaimponowała, bowiem jako jedyna z całej grupy studentów, udzieliła bezbłędnej odpowiedzi na pytanie Jaworskiego. Wykazała się niebywałą bystrością umysłu i precyzyjnym kojarzeniem faktów.

W jego mniemaniu Ania Lange uchodziła za kobietą idealną. Uważał, że posiada zmysłową urodę, fantastyczną figurę, wdzięczny sposób bycia i na dodatek, jest piekielnie inteligentna.

W piątek, kwadrans po piętnastej, sześciuosobowa ekipa, ulokowała się wewnątrz białego poloneza. Anka usiadła na przednim fotelu obok kierowcy, a reszta towarzystwa zajęła tylne siedzenie. W bagażniku spoczywał plecak z wałówką, osiem butelek wina o szumnej nazwie „Czardasz”, koce, śpiwory, gitara, skrzynka oranżady, trzy półlitrowki czystej wódki oraz naczynia i sztucce, umożliwiające w miarę kulturalne spożycie trunków i strawy. Każdy z podróżnych zabrał również z sobą cieplejsze wdzianko, bowiem czerwcową noc, mogła okazać się nieco chłodna. Plan zakładał, że impreza będzie huczna, a w powrotną podróż ruszą dopiero następnego dnia po południu.

Zanim Tomek odpalił silnik, obrócił się przez ramię i rzekł:

– W razie draki, jeśli drapną nas mendy, robicie ściepę na łapówkę albo na mandat.

– Nie panikuj, bądź dobrej myśli – odparł Szymek.

– Nie panikuję, tylko uprzedz...

– Ruszaj waść, bo czas nagli! – Michał nie pozwolił mu dokończyć kwestii.

Kierowca białego poloneza przepisową prędkością sunął wrocławskimi ulicami, kierując się w stronę trasy, wiodącej do Świdnicy. Towarzystwo na tylnym siedzeniu raczyło się butelką wina, która nie wchodziła w skład ekwipunku. Puścili flaszkę w obieg i popijając z przysłowiowego gwinta, przekazywali ją sobie z rąk do rąk. W związku z tym, że dziewczęta siedziały chłopakom na kolanach, między stłoczonymi pasażerami, co chwilę dochodziło do zabawnej, ale zarazem pikantnej konwersacji. Mowa była o drażkach, dyszlach i słomkach, o zaletach sztywnej podróży, piłkach ugniatających biodra i miękkich zderzakach amortyzujących, ulokowanych

na wysokości oczu. Każdą wypowiedzaną kwestię, kończyły salwy szczerego śmiechu.

Tomek kilka razy starał się uciszyć ferajnę za swoimi plecami, ale mimo szczerych chęci, nie potrafił na nich wymusić spokojnego zachowania.

– Ignorancja jest najlepszym rozwiązaniem – powiedziała Anka – skup się na jeździe i dowieź nas bezpiecznie na miejsce.

Słyszając jej słowa, uśmiechnął się pod nosem i wskazując wzrokiem na książkę, którą krótkowłosa blondynka trzymała w dłoniach, zapytał:

– Zdobyłaś jakieś ciekawe informacje?

– Jeśli chcemy dotrzeć do domniemanej lokalizacji pradawnego, świętego gaju – odparła spoglądając na ilustrację mapy, zamieszczoną na stronach „Krzyża garbo” – musimy minąć Sobótkę i kierować się w stronę drogi, wiodącej przez przełęcz Tapadła.

– Że niby dokąd?! – Michał zniecierpliwiony wtrącił rozbawionym głosem.

– Kiedy dojedziemy do Sobótki – Ania zlekceważyła jego pytanie – powinniśmy jechać na Strzegomiany i dalej na Będkowiec – mówiła, przesuwając wskazujący palec po opisie trasy. – Droga wije się wzdłuż masywu, a Ślężę będziemy mieć wówczas po prawej stronie.

– W schowku jest atlas samochodowy, może weźmiesz na siebie niewdzięczną rolę pilota? Nigdy nie jeździłem w tych stronach, nie znam dróg.

– Nie ma problemu, powinnam dać radę – odparła z uśmiechem na ustach.

W tym samym momencie Tomek pomyślał, że dzisiejszy wyjazd byłby cudowną wyprawą, gdyby nie hałaśliwy motłoch, kołujący się za jego plecami.

Kiedy samochód z wesołą ekipą minął Bielany Wrocławskie, Michał zagadnął do Anki:

– Przeczytałaś całą książkę?

– Prawie. Został mi jeszcze ostatni rozdział pod tytułem „Podania, mity i legendy”.

– I jak oceniasz pozycję?

– Bardzo pozytywnie – po czym zaczęła opowiadać o swoich wrażeniach i zdobytej wiedzy.

Towarzystwo na tylnym siedzeniu, słuchało jej słów z zainteresowaniem. Jadący polonezem dowiedzieli się, że Masyw Ślęży posiada specyficzny mikroklimat, a jego gęste zalesienie sprawia, że bez względu na porę roku, wzniesienie często spowijają mgły. Z treści lektury wynikało, że pierwsze ślady osadnictwa były datowane na okres lateński, o czym świadczyło kilka starożytnych rzeźb wykonanych z granitu, które przetrwały do czasów współczesnych. Na każdej z nich widniał znak, przypominający literę „iks”, czyli tak zwany „krzyż garbo”, a identyczne wizerunki, zachowały się również na wielu głazach i skałach. Autor książki nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że pierwotną lokalizację posągów, zmieniono na przełomie X i XI wieku z rozkazu możnowładcy, do którego należały ziemie leżące wokół Ślęży. Było to w czasach, kiedy rozpoczął się intensywny okres chrystianizacji. Monumenty mogły wówczas zostać zniszczone, ale taka decyzja przyniosłaby więcej szkody niż pożytku. Nie podjęto ryzyka, które brutalnie uderzyłoby w wielowiekowe tradycje okolicznych mieszkańców. Prawdopodobnie chodziło o aspekt czysto psychologiczny, mający podważyć sens heretyckich obrzędów.

– Wyobraźcie sobie – blondynka ciągnęła swą opowieść – że nieco później, bo z początkiem XII wieku, do Sobótki przybyli kanonicy regularni świętego Augustyna. Chociaż

duchowni byli zmotywowani i ogarnięci misją nawracania na wiarę chrześcijańską, nie potrafili sobie poradzić w walce z pogaństwem. O ich determinacji mógł świadczyć fakt, że bracia pozyskali środki od palatyna Bolesława III Krzywoustego i za jego zgodą, wybudowali na szczycie góry klasztor. Ich wysiłek jednak poszedł na marne, a siedziba świątyni bardzo szybko została przeniesiona w okolice obecnej Sobótki...

– Powiem ci Ania – Szymon nagle wpadł jej w zdanie – że jesteś jedyną, znaną mi osobą, która ma tak fenomenalną pamięć – powiedział z nieukrywanym podziwem – mówisz w taki sposób, jakbyś wystukała na blachę wszystkie akapity tej książki. Od piętnastu minut, czuję się jak słuchacz, biorący udział w naukowym sympozjum – a pozostali podróżni, na dźwięk jego słów, pokiwali głowami, jakby zgadzali się z tym twierdzeniem. – Wybacz, że ci przerwałem, ale czy dzięki lekturze, doprowadzisz nas do świętego gaju? – zapytał żartobliwym tonem.

– Z całą pewnością, odnajdziemy to miejsce – odparła.

– Jako czołowa kapłanka naszego plemienia, zaserwujesz nam dzisiejszej nocy, jakieś pogańskie obrzędy? – zagadnął Michał i wszyscy oprócz Tomka, zanieśli się śmiechem.

– Życzysz sobie liźnąć słowiańskiej tradycji, czy wolisz namiastkę celtyckich obyczajów? – odparła pytaniem.

– Sądzę, że noc z magią druidów będzie ciekawsza – odpowiedział i pociągnął z butelki łyk wina.

– Czerwiec w kulturze Celtów, których nazywa się również Galami lub Galatami, był miesiącem szczególnym – wyjaśniła bez chwili namysłu. – Oddawali wtedy cześć dębom, bowiem uważali te drzewa za symbol wytrwałości, mądrości i potęgi. Wierzyli, że podczas nocy przypadającej w chwili letniego przesilenia, można skomunikować się z bogami. Urządzali



wówczas huczne uczty, gdzie tańcem, śpiewem i płonącymi ogniskami, chcieli przyciągnąć uwagę swoich bóstw. Biesiada zawsze odbywała się w miejscu, które było otoczone, obszernym kamiennym kręgiem. Niektóre źródła podają, że podczas takich uczty, grupa najważniejszych kapłanów w środku nocy, opuszczała uroczystość i udawała się do świętego gaju. Poza druidami nikt inny z ich społeczności nie miał tam prawa wstępu, a za złamanie tego zakazu groziła śmierć.

– W takim razie, zabawimy się dzisiaj jak legendarni Galowie – skwitował Michał i zwrócił się do Anki z dość osobliwym pytaniem: – Powiedz nam nasza droga szamanko, czy na przestrzeni dziejów, była jakaś cywilizacja, która w trakcie tej szczególnej nocy, kończyła imprezę orgią?

Jego pytanie niemal natychmiast wywołało kolejną salwę śmiechu.

– Tobie to się marzy – Dorota stwierdziła rozbawionym tonem.

– Oj tam od razu marzy – odparł jej rozmówca i przewracając oczami, dodał: – Ja tylko twierdzę, że człowiek powinien doświadczać zmysłowych rozrywek, bo jego byt jest ulotny.

Dalsza dyskusja podróżnych przybrała kabaretową formę, a Michał został ochrzczony mianem erotycznego hedonisty.

Zbliżała się piętnasta trzydzieści, kiedy biały polonez skręcił w prawo i zjechał z asfaltowej szosy. Dalsza droga, która z tego miejsca biegła w głąb lasu, była wysypana drobnym tłuczniem i żwirem. Jej szerokość pozwalała na swobodny przejazd samochodem, ale gdyby jakiś inny pojazd jechał z naprzeciwka, wówczas mogłyby się pojawić problemy. Nieco dalej znajdował się szlaban, pomalowany w biało-czerwone pasy, a jego poprzeczka stała w pionowej pozycji. Po

prawej stronie widniał znak zakazu wjazdu oraz umieszczona poniżej tabliczka z napisem – „Wjazd tylko za zgodą PGL Lasy Państwowe”. Natomiast z lewej strony, znajdowała się duża tablica informacyjna. Z zamieszczonej treści wynikało, że niniejszy teren podlega jurysdykcji Nadleśnictwa Miękinia. Czerwona strzałka wskazywała na jedyny budynek, który stał w odległości około dwustu metrów, gdzie nad głównym wejściem wisiała polska flaga, a to sugerowało, że właśnie tam ulokowana jest owa instytucja. Poniżej była szczegółowa mapa masywu wraz z zaznaczonymi szlakami i turystycznymi atrakcjami oraz rysunek, świadczący o zakazie palenia ognisk.

– I gdzie mamy ten święty gaj? – Szymon zwrócił się do Anki.

– Według informacji zawartych w książce – odparła – to miejsce nazywa się obecnie „Polana z dębami”. Natomiast pozostałości starożytnego wału kultowego, znajdują się niedaleko szczytu. Jak widzisz, oba punkty są zaznaczone na planszy – powiedziała, wskazując dłonią ich lokalizację.

– W takim razie nic tu po nas, ruszajmy! – stwierdził Michał.

– Spokojnie, przecież się nie pali – Anka rzuciła lekko oburzone tonem – to po pierwsze, a po drugie chyba wypadałoby zapytać leśniczego, czy możemy wjechać samochodem.

– Oszalałaś?! – odburknął Szymon. – Do „Polany z dębami” jest prawie półtora kilometra, a stamtąd tyle samo do wału. Chyba nie sądzisz, że będziemy taszczyć z sobą cały ekwipunek. Czy my wyglądamy na tybetańskich szerpów?

– Tylko spójrz na zdjęcia – kiwnęła głową w stronę tablicy informacyjnej – do wału na pewno nie dojedziemy.

– Dojedziemy do polany, a to już połowa sukcesu – stwierdził Michał.

– Może jednak chodźmy zapytać leśniczego o pozwolenie – wtrącił się Tomek.

– Kogo chcesz pytać? Państwowe instytucje są otwarte do piętnastej i w tej budzie na pewno nikogo już nie ma – Szymon nie dawał za wygraną.

– Tomcio, nie pękaj – do rozmowy dołączył Michał. – Podjedźmy do polany, wyładujemy bambetle i jeśli uznasz za stosowne, to razem z tobą wrócę odstawić wóz. Dziewczyny, a wy co sądzicie? – zwrócił się do Baśki i Doroty, które stały oparte o maskę poloneza i paliły papierosy.

– Trzy kilometry, to niby niedaleko – powiedziała Baśka – ale chyba nie chce nam się deptać z plecakami pod górkę.

– Kochane panie, serdecznie dziękuję za poparcie mojego genialnego pomysłu – Michał posłał im promienny uśmiech i wykonał fantazyjny ukłon, po czym rzekł: – Oświadczam, że większością głosów decyzja została podjęta. Ania, pakuj się do bryczki! – rzucił w stronę blondynki, która wciąż wpatrywała się w plan turystycznych szlaków. – Skoro już wiemy dokąd zmierzamy...

– Wyobraź sobie – wpadła mu w zdanie – że ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie przyjechałam tutaj tylko po to, żeby siedząc przy ognisku, pić tanie wino, opychać się smażoną kiełbasą i snuć żalosne fantazje na temat zbiorowego seksu. Ja mam zamiar zobaczyć te wszystkie rzeźby, które są świadectwem dawnych czasów.

– I niby kiedy chcesz ruszyć na szlak?! – zapytał. – Dziś przed zachodem słońca, czy jutro na porannym kacu?

– Dzisiaj jest najdłuższy dzień w roku, więc do zachodu jeszcze daleko – odgryzła się z lekkim przekąsem.

– Nie będziesz się bała samotnie wędrować, przez nieznaną las?